ROK VI. CHICAGO, dnia 19 go LIPCA, 1888. **No. 29**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.
All comunications must be adressed: }

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 19 Lipca	Wincentego a Paulo wyz.	Wodzisław.
Piątek, 20 lipca	Czesława wyz.	Czesław św.
Sobota, 21 lipca	Kamilla i Daniela pror.	Stosław i Dys.
Niedziela, 22 lipca	9-ta po Św. MaryiMagdaleny	Bolesława.
Poniedziałek, 23 lipca	Teofila i Apolina	Zelisław.
Wtorek, 24 lipca	Kunegundy panny.	Lubomira.
Sroda, 25 lipca	Jakóba apost.	Sławosz.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ IX-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XIX. od w. 41 *do* 48.

Onego czasu, gdy Jezus przybliżył się do Jeruzalem, ujrzawszy to miasto, zapłakał nad niem, mówiąc: Gdybyś i ty poznało, i w ten dzień twój, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryto jest przed oczyma twemi. Albowiem przyjdą na ciebie dni, i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblęgą cię, i ścisną cię zewsząd. I na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dla tego, iżeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. A wszedłszy do kościoła, począł wyganiać przedających w nim i kupujących, mówiąc im: Napisano jest: Iż dom Mój, domem jest modlitwy, a wy uczyniliście go jaskinią zbójców. I uczył na każdy dzień w kościele.

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Kogo Bóg miłuje, karze, a biczuje
każdego syna, którego przyjmuje
ś. Paweł.

Pewien stary, a bardzo mądry filozof pogański powiedział, że dusze tych, którzy swe serce całkiem do marności światowych przywiązali, nawet w śmierci na dobre się oddzielić od nich nie mogą, i ztąd widzimy ich po śmierci pokutujących i błąkających się na grobach swoich. Jać tam jeszcze żadnego z tych straszków, który tu właściwie nie ma nic do roboty i tam na drugim świecie powinien sobie siedzieć cicho, nie widziałem biegającego po grobie, albo po miedzy odgraniczającej jego pole od pola sąsiada. Ale jeśli tylko dobrze się nad temi słowami zastanowisz, poznasz, że ich ten filozof tak na wiatr nie wyrzekł, albowiem sam Pan Jezus powiedział: „Gdzie skarb twój, tam będzie i dusza twoja.“ Wykładaj i nakręcaj, jak chcesz, to wyrzeczenie P. Jezusa — tyle jest pewnem, że dusza człowieka jest jakby 100 powrozkami przywiązaną do ziemi i do ziemskich uciech. Im grubsze są te powrozki, a u niektórych nawet są grubsze jak lina na wiatraku, i im więcej ich jest, tem mocniej musi śmierć szarpać duszę i z większem natężeniem ją zrywać, i tem więcej doznaje dusza bólu, dopóki się całkiem od ciała i od ziemi nie oderwie. Dla tego też P. Bóg, mając kogo szczególniej na oku, przecina mu jeden powrozek po drugim tak, iż dusza jego bez żadnej prawie trwogi i bez wszelkich bolesnych wysileń przy śmierci z ziemi do Boga się unosi. Jeżeli ci więc ojciec lub matka, żona, lub jedyne dziecko umrze; jeżeli przez proces lub jakie nieszczęście straciłeś cały twój dobytek, albo jeśli cię źli i jadowici ludzie na sławie i dobrem imieniu oczernili, a nikogo nie masz, ktoby dobrze o tobie myślał, coby się ujął za tobą; jeśli z czasem się znacznie podstarzejesz tak, iż już żadnej sobie nadziei robić nie możesz pójść za mąż: to wiedz, że już wiele owych

powrozków zostało przeciętych i dusza już nie jest tak mocno przyklejona i przyrosła do ciała i do ziemi. Toć to możesz spostrzedz nawet wtedy, kiedyś jeszcze zdrów jak ryba, a śmierć daleko od ciebie. Jeśli cię bowiem los przeciwny lub ludzie zjadliwi prześladują, to wtedy myślisz więcej o Bogu, wtenczas już nie lękasz się tak mocno śmierci, choć ci się źle robi, a cmentarz wcale ci się już nie wydaje tak ponurym i tak niezdrowym, jak ci się wydawał za dni uciechy, i już teraz chodzisz na cmentarz, choć tam tędy droga nie prowadzi, zwiedzasz groby i tęsknisz i wzdychasz głęboko: „ach gdybym i ja mógł tu już spoczywać snem śmierci!“ Tak więc śmierć dla tego, którego za życia cierpienia i nieszczęścia ścigają, nie przedstawia się tak groźno. Co więcej jeszcze: dusza przez to pozbywa się wiele ziemskości i wiele ciężkości; delikatnieje i wyciąga się niejako tak, że łatwiej wzniesie się ku górze i łatwiej przez wązkie drzwi nieba się przeciśnie. Bóg jest, że tak powiem, snycerzem, a dusza marmurem. Przeciwności są dłutem i młotem w ręku Boskiego snycerza. I Bóg przez długie lata obrabia i ociosywa nie jednę duszę człowieka przez rozliczne kłopoty, przez różnorodne troski, i zdaje się, gdyby ją całą chciał połupać i pogruchotać. Aleć tego Bóg nie zamierza, tego nie chce. Bóg tylko chce nierówności i wystające nadto kanty odrąbać i piękną, świętą figurę zrobić, godną, żeby stała wiecznemi czasy w świątyni niebieskiej. Ten i ów jest nieraz zbyt grubym, twardym i martwym głazem, tak dalece, iż nie rychło z niego piękny i kształtny posąg zostaje wykuty; ale i on z czasem przybiera formę, a im częstsze i cięższe uderzenia młota spadają na niego, tem prędzej powstaje całkiem nadobna i wdzięczna osoba.

Niejedna dziewczyna bardzo jest niesforna i harda; niesłucha matki, niezważa na jej prośby i groźby, czyni co jej się podoba, idzie, gdzie chce, na każdym musi być tańcu. Ale niechno dostanie złego męża, niech się zwalą kłopoty z dziećmi, a dochody coraz się umniejszą, oj, wtedy zaraz się ustatkuje, zaraz spuści z tego hardego tonu. Patrz, jak to skromniutko się ubiera, jak już nie spóźnia się do kościoła w

niedzielę, jak to dawniej bywało, a to dla tego, że musiała się długo czesać i ubierać, chustka na szyi i okrycie nieraz leżą krzywo i byle jak, tak iż zaraz poznajesz, że już nie wiele zagląda do zwierciadła. Matka stała się jej teraz bardzo drogą, i cieszy się, jeśli może na kwadransik pójść do niej, wypłakać się przed nią do woli, i wywnętrzyć się ze wszystkiem, co czuje i co cierpi. Chęć do tańca dawno już ją opuściła; w niedzielę, skoro dzieci poszły spać, najszczęśliwszą się czuje, jeśli może sama pozostać w domu i czytać sobie w nabożnej książce. — Weźmy inny przykład. Patrz ten oto lekki kawaler z wąsem pod nosem, cygarem w gębie, łańcuszkiem od zegarka wyłożonym na kamizelce, i czapką na bakier, kroczy hardo i dumnie; w każdą niedzielę i w każdy poniedziałek pije, ile się zmieści, gra i klnie do sytości, nieraz tłucze i bije na około, jeśli mu kto jakie przykre słówko powie, przy każdym tańcu niestworzone rzeczy dokazuje, a późno w nocy wracając, krzyczy, hałasuje, ludziom wszystkie okienice chce powybijać, stróżów nocnych lży i wyzywa; patrz, jak to już zaczyna nie chodzić do kościoła w dni nakazane, zapatrując się w tem na niejednego głupiego jak sak pisarka lub jakiego ze sądu, co udaje mądrego, choć nie ma ani za 3 grosze oleju w głowie; niechno teraz nagle zachoruje (doktor powiada, że mu płuca poczęły gnić), tak mu coś duszno, kaszel nie chce ustąpić, jeno się coraz bardziej wzmaga, ciśnie go coś w piersiach, jakiś ból mu w gardle dokucza, nogi mu ciężeją, jak gdyby miał u nich cetnary; w nocy nie może spać i tylko na jednym boku musi leżeć, i poci się straszliwie. Wszystkie leki, jakie mu doktor zapisuje, wszystko co mu ludzie radzą, nie chce pomagać, a tu coraz to gorzej a gorzej — o, jak to wtenczas miękną zaraz rury takiemu za walidrodze, zaraz wszystko inaczej, jakby ręką przewrócił; patrz, siedzi smutny i samotny w domu, jak wróblik na dachu, już poczyna myśleć o swoich grzechach, westchnie sobie żałośnie tedy owedy i próbuje się modlić do Boga. Prawda, że niekiedy i ludzi poczciwych, dobrych, którzy od młodości byli porządni i obyczajni, spotyka niejedno nieszczęście. I jakaż tego przyczyna? Oto P. Bóg dopuszcza na nich to

nieszczęście i tę klęskę, aby się pokazało, czy ich cnota jest prawdziwą i w ogniu ciężkich doświadczeń i przeciwności pozłacaną, czy też tylko zwyczajną farbą pociągniętą. Sam przyznasz mi chętnie, że to wcale nie trudno, być uczciwym człowiekiem i chwalić Pana Boga, kiedy się ma znaczne a pewne dochody, kiedy jest zawsze wszystkiego pod dostatkiem, jest z czego dobry obiad ugotować, jest też czem się pokrzepić, a ma się przytem nie zgorszy apetyt. Ale wtenczas, kiedy długi się coraz więcej mnożą, kiedy rola nie obrodzi, podatków nie można zapłacić, kiedy żona już nie ma z czego polewki na śniadanie ugotować, a o obiedzie już ani wspominaj, nie ma czem okrasić perek, ledwo że na sól jeszcze się parę groszy znalazło: wtenczas pokaż, bracie, wiarę mocną, niezłomną ufność w Boga, pokaż, że nie gaśnie w sercu twojem ogień miłości ku P. Bogu, pokaż że ta wiara i ta ufność tkwią ci mocno w sercu, jak gwóźdź mocno wbity w deskę, a zaiste przyznam ci, żeś tęgi wiarus i poczciwy człowiek. Nie oszukuj, nie kłam wtenczas, kiedy widzisz korzyść i zarobek dla siebie, gdybyś skłamał; nie zatrzymuj u siebie, ale oddaj natychmiast coś znalazł na drodze, albo co ktoś zostawił i zapomniał; w ogóle nie tykaj, co nie twoje, a powiem ci, że umiesz panować nad sobą, że umiesz wytrzymać próbę i doświadczenie. Znasz ty świętojańskiego robaka? Ten, jak wiesz, świeci się ładnie i mile, ale tylko w nocy; patrzaj, poczciwość świeci i pokazuje się także piękną i miłą, ale tylko w biedzie i ucisku. C. d. n.

RÓŻA LEŚNA.

Powiastka z życia Indyan amerykańskich.

Ciąg dalszy.

Była ona krótką, a wynik jej był do przewidzenia. Bladolicy ma umrzeć. Jednakże Czarne pióro wymógł, aby dla ćwiczenia młodszych wojowników odbyły się wyścigi. Wtedy naczelnik w krótkości oznajmił jeńcowi, że go wyprowadzą sto kroków za wieś, więzy mu zdejmą, a wtedy zależec będzie od jego nóg, czy zostanie przy życiu czy nie.

Karól słyszał już nieraz o podobnych wyścigach, jakie Indyanie dla swej uciechy i dla przedłużenia męczarń ofiary częstokroć urządzają. Znał także podstępy, któremi umieją przeszkodzić ofierze w ucieczce. Nadziei więc szukania ratunku w szybkości nóg mieć nie mógł, zwłaszcza, że Komanszom chodziło o to, aby śmierć poniósł. Najmilej byłby teraz widział, gdyby się był zamiar Pstremu wężowi udał, gdyż na ten sposób byłby uniknął wszelkich innych cierpień i męczarni. Nie byłby potrzebował dać się teraz ścigać niby dzikie zwierzę, aby wreszcie być jednak schwytanym i w końcu być męczonym.

Ponieważ nieprzyjaciele jego na wyścigi potrzebowali niektórych przygotowań, przeto odprowadzono go do tego samego wigwamu, w którym przebywał ostatniej nocy. W ponurem poddaniu się swemu losowi, rozciągnął się na ziemi, życząc sobie, aby to co się ma stać, stało się jak najrychlej.

Właśnie myślał o Attahibie i dziwił się, że jej cały dzień nie ujrzał na oczy. Wtem zaszeleściła zasłona namiotu. Zerwał się, sądząc, że to Attahiba. Lecz zamiast jej, ujrzał dziecko indyańskie, które pół z obawą, pół tajemniczo w namiot spoglądało.

Zadziwiony Karól wytrzeszczył na nie swe oczy. Dziecko chwilę stało, a potem całkiem wsunęło się do namiotu i przyczupło obok niego.

— Attahiba mnie przysyła, — szepnęło tajemniczo, — bladolicy ma uciekać na pagórek, gdzie stoją trzy pojedyńcze hikory.*)

Młodzieniec nadstawił uszu, a promień nadziei wpadł do jego duszy. Tu bowiem podają mu widoki ratunku.

— I cóż dalej? — naglił w gorączkowem oczekiwaniu Karól, — cóż ci więcej kazała Attahiba powiedzieć?

— Więcej nic mi Attahiba nie kazała powiedzieć, — odpowiedziało bojaźliwie dziecko, i nim Karól zdołał jakiekolwiek stawić jeszcze pytanie, zerwało się i wybiegło.

---

*) Hickory (juglans alba), białe drzewo orzechowe, rośnie w północnej Ameryce.

W kilka minut później wyprowadzono go z namiotu. Zdjęto mu więzy i odprowadzono mały kawałek za wieś, podczas gdy młodsi wojownicy ustawili się za nim w tyle, czekając na hasło naczelnika.

Skoro tylko naczelnik je wydał, odstąpili od Karóla strażnicy, którzy go dotąd trzymali, i Karól niby wiatr pognał na stepy, a za nim waliła się gromada Komanszów, niby stado psów gończych, spuszczonych ze smyczy.

Karól był wprawdzie w bieganiu i skakaniu biegłym, i zawsze pomiędzy towarzyszami uchodził za najzręczniejszego. Jednakże więzy, które w czasie niewoli krępowały mu nogi, uczyniły je sztywnemi i odebrały im nie tylko sprężystość, ale i siłę.

Pomimo tego popęd naturalny utrzymania swego życia, pobudzał go do jak najspieszniejszej ucieczki. Jak tylko mógł szybko, gnał przez trawy stepowe, i przeskakiwał nierówności, jakie po swej drodze napotykał A tak się zapalił, że nawet nie dał sobie czasu do obejrzenia się, jak daleko za nim pogoń.

W pierwszym zapale i postanowieniu, aby uciec Komanszom, zapomniał o tajemniczej wskazówce Attahiby, którą mu dała przez indyańskie dziecko. Teraz nagle zajście to strzeliło mu przez głowę.

Ale gdzież jest pagórek z trzema pojedyńczemi hikorami? w której stronie?

Step rozciągał się przed nim falisto, tylko tu i tam stoją grupy drzew, lub też większe wzniesienia ziemi. Ale napróżno oczyma szukał pagórka, na którym rosły trzy pojedyńcze drzewa.

Tymczasem coraz głośniej dochodziły go głosy goniących nieprzyjaciół. Przerażony przyspieszył biegu, a oczy jego niespokojnie utkwiły w okolicę, szukając wskazanego miejsca.

Właśnie wbiegł na mały wzgórek i... o! radości!... Karól byłby wydał okrzyk tryumfu, gdyby mu nie był się dech zaparł od biegania: w znacznej jeszcze odległości zobaczył pagórek, a na nim trzy pojedyńcze drzewa w równych od siebie odstępach.

To zatem, a nie inne miejsce jest miejscem umówionem. Pagórek ten leżał cokolwiek z boku od dotychczasowego kierunku Karóla. Ztąd natychmiast zmienił swój kierunek i zboczył we właściwą stronę.

Skoro go goniący spostrzegli, zaczęli krzyczeć przeraźliwie, a głosy ich zdradzały wściekłość niesłychaną. Równocześnie zmiarkował Karól, że pogoń przyspieszyła kroku. To, że go chcą prędzej doścignąć, wcale go nie zdziwiło, lecz nie mógł pojąć ich gniewu i wściekłości z powodu, że zmienił kierunek; przecież przypuścić nie mógł, aby mogli wiedzieć, że mu tak Attahiba kazała.

W kilka minut później rzecz mu się jednakże wyjaśniła. Zobaczył bowiem przed sobą głęboki i szeroki parów, wydarty z ziemi potokami wody deszczowej. Strome ściany parowu stały szeroko od siebie, i zagrażały Karólowi uniemożebnieniem ucieczki. Jednakże ku nieopisanej swej radości spostrzegł, że parów w tem miejscu, na które prosto biegnie jest najwęższym, i będzie go mógł łatwo przesadzić. Gdyby był zatrzymał kierunek początkowy, byłby zmuszony albo stanąć nad parowem, albo też spuścić się w niego, a je dno i drugie byłoby dla niego zgubnem.

Tak zapewne też Komansze sobie myśleli, i byli pewni, że im ofiara nie ujdzie. Widząc teraz, że pędzi prosto na wązkie miejsce parowu, popadli we wściekłość, gdyż wszyscy już go gonić nie mogli. Biegli oni za nim rozciągniętą linią: chcąc więc ścigać go i za parowem, musiałyby się skrzydła zejść u wązkiego miejsca, a to już byłoby za późno, gdyż Karól nie byłby czekał, aż wszyscy parów przebędą.

Ź tego powodu powstał ów krzyk wściekły, który tem głośniej zabrzmiał, kiedy Karól jednym wielkim susem przesadził parów i niby wiatr popędził dalej.

Tak też Karól sądził, że zrozumiał plan Attahiby. Taiemniczem swem poselstwem wskazała mu kierunek, w którym winien uciekać, jeźli chce mieć widoki ratunku. Był jej więc w swem sercu bardzo wdzięcznym za wskazówkę i postanowił wszelkich dołożyć sił, aby uciec pogoni.

Ośmielił się też teraz rzucić po pierwszy raz okiem po

za siebie. Tylko pewna część pędziła za nim; inni pozostali przed parowem, jużto, że im gonitwa się sprzykrzyła, jużto, że nie odważyli się na skok przez przepaść.. Widział też, że odległość pomiędzy nim a goniącymi jest ta sama, co da wniej: nic wprawdzie nie stracił, ale też nic nie zyskał.

Mając pagórek z trzema hikorami przed oczyma, gnał Karól przez step coraz dalej. Ale niedługo uczuł, że wnet będzie koniec z jego ucieczką, gdyż tchu mu poczęło brakować, a nogi mdleć. Już też musiał tedy i owedy przystanąć, aby piersiom ulżyć, a potem znowu uciekał. Ale krok jego stawał się coraz to chwiejniejszym, niepewnym, a piersi coraz mocniej robiły.

Goniący poznali jego zmęczenie, ztąd wydali okrzyk radości. Jednakże właśnie ten okrzyk dodał Karólowi nowych sił, które zebrawszy, biegł ku pagórkowi, który coraz to wyżej wznosił się przed nim. Wprawdzie był przekonanym, że pagórek sam go nie zbawi, gdyż rada Attahiby tyczyła się jedynie przepaściowego parowu, który krzyżował jego ucieczkę. Pomimo tego biegł w obrachowanym raz kierunku, i zamierzał na wszelki przypadek dobiedz do drzew hikory, a wtenczas niech się dzieje co chce.

Obejrzawszy się, zobaczył ku swej radości, że go tylko sześciu Indyan goni, reszta zmęczona pozostała w tyle. Ale i tych sześciu wystarczało do jego ujęcia, gdyż ani nawet nie miał noża do obrony.

Zresztą goniący zdawali się być tak samo zmęczonymi, jak i on. Jeden tylko wyprzedził daleko swych towarzyszy i był za nim tuż niedaleko. Karól poznał, że temu ujść, będzie mu za trudno.

Przez kilka chwil namyślał się; czyby nie było lepiej zatrzymać się i z Indyaninem pójść w zapasy, żeby go albo zabić albo sam poledz. Ale wnet porzucił tę myśl, ponieważ bezbronny i zmęczony nie mógł mieć nadziei zwycięztwa, a do poniesienia śmierci dosyć jeszcze będzie sposobności.

Po kilku minutach nabrał jednakże przekonania, że nadeszła chwila rozstrzygająca. Jego nieprzyjaciel był tuż, tuż za nim i wyraźnie słyszał jego sapanie. Gdyby był miał

chociaż nóż, byłby bezwarunkowo przyjął potyczkę, ale tak, bezbronny, nie mógł bez wszystkiego głowy swej poddać pod tomahawk Indyanina.

Obejrzał się znowu i zobaczył z przerażeniem, że goniący go Indyanin nie był od niego ani dziesięciu kroków oddalonym. Właśnie zwrócił Karól głowę i chciał przyspieszyć kroku, gdy nagle uczuł uderzenie w prawą stronę głowy, tak silnie, że na pół ogłuszony, potoczył się naprzód. Pomimo tego jednakże zauważył, że mu około głowy prześwisnął tomahawk, który o kilka kroków padł przed nim na ziemię. Prawie machinalnie tylko schwycił za leżącą broń i zerwał się na równe nogi, gdy w tej chwili Indyanin, który z niecierpliwości rzucił za nim tomahawkiem, doskoczył do niego chcąc mu wydrzeć broń z ręki.

Napad ten przywołał Karola całkiem do przytomności. Silnem uderzeniem pięści odrzucił od siebie Indyanina, który go pochwycił za gardło, i ciął silnie tomahawkiem. Ale Indyanin był zgrabniejszym. Niby błyskawica szybko w bok uskoczył, a zanim Karól zdołał drugi raz wymierzyć do cięcia, już go przeciwnik w pas ujął, starając się powalić go na ziemię i wydrzeć mu tomahawk.

Towarzysze Indyanina, będący w oddaleniu jeszcze kilkaset kroków, wznieśli okrzyki tryumfu, ponieważ już byli pewni, że im ofiara nie ujdzie. Wtedy rozpacz całkiem sił pozbawionemu Karólowi wróciła je jeszcze napowrót, jeszcze się zdołał wyrwać z rąk Indyanina, wzniósł tomahawk i jak błyskawica spadło cięcie na głowę nieprzyjaciela, który natychmiast legł u stóp jego trupem.

Dziki okrzyk wściekłości rozległ się pomiędzy goniącymi Indyaninami, gdy widzieli, że ich towarzysz legł pod tomahawkiem z ręki bladolicego. W czasie walki zbliżyli się już na krótką przestrzeń, a teraz z wściekłości podwoili kroki, aby Karola doścignąć. W samej rzeczy mieli też do tego pewne widoki, gdyż Karól od minuty do minuty biegł słabiej i wolniej.

Zmęczony Karól uciekając, trzymał czas niejaki tomahawk w ręku, lecz musiał go odrzucić, gdyż ta, zresztą bardzo lekka broń, ciężała mu teraz niby wielki kamień.

Jeszcze nie dotarł do stóp pagórka, gdy goniący go ledwie o dwadzieścia kroków już byli tylko od niego oddaleni. Chrapiąc i dusząc się, wbiegł wreszcie na pagórek ale doszedłszy do pierwszego drzewa, już nóg nie zdołał powlec dalej. Przed oczyma zajaśniały mu najprzód gwiazdki, potem zrobiło się ciemno, i runął omdlały u stóp hikory. Ostatnie, co jeszcze słyszał, był okrzyk tryumfu Indyan, który mu zabrzmiał prawie nad uszami. Dokończenie nastąpi.

WYROK NA ŚMIERĆ.

Ciąg dalszy.

Opuściliśmy księdza proboszcza w tej chwili, gdy zasnął nad ranem, lecz sen jego nie trwał długo, albowiem syn kościelnego oddzwoniwszy na Anioł Pański przybył oznajmić księdzu, że jakis człowiek znalazł się w kościele i chce się spowiadać. Jakieś dziwne przeczucie opanowało, kapłana, lecz bez wahania udaje się do kościoła. Tu znalazł człowieka w kącie za filarem ukrytego i nie poznał go zrazu. Skoro wsiadł w konfesyonał zbliżył się zasłoniony konfitent i zaczął się spowiadać. Straszna to była spowiedź! Co tu spowiednik słyszał, tego wszystkiego był świadkiem naocznym. Drżącym głosem przedstawia spowiadającemu się głębokość przepaści, nad którą wisi, przedstawia niebo i piekło, aby skruszyć złoczyńcę i dodaje na koniec. „Nieszczęsny człowiecze! idź do kryminału i oskarż sam siebie, inaczej bowiem nie znajdziesz spokoju sumienia, dopóki zbrodni nie wyjawisz!“

„Właśnie dla tego“ — odpowiedział Janek — „przybyłem do spowiedzi, abym uszedł sądu. Nikt nie zna mojej zbrodni oprócz ciebie księże! a ty sam uczyłeś mnie w młodości, że spowiedź zamyka kapłanom usta, że tajemnica spowiedzi nigdy wykryta być nie może.“ To rzekłszy nieczekając dalszej nauki wyszedł z kościoła i poszedł w las.

Długo jeszcze zatrzymał się kapłan w spowiednicy modląc się za mordercę, potem dopiero odprawił Mszą swiętą. Po Mszy wysłał syna kościelnego na górę po ojca, któremu

po zimnej kąpieli polepszyła się noga tak, że mógł wrócić do domu. Tu znalazł księdza pomieszanego i w myślach pogrążonego, pokiwał głową i pomyślał sobie, że albo musi być słaby, albo miał jakie zmartwienie. Podobną markotność uważała i gospodyni, uważali i parafianie.

Proboszcz wróciwszy z kościoła do domu szuka w kieszeni brewiarza — nie masz go, szuka po izbie — nie znalazł. Przypomniawszy sobie, że go wczoraj miał z sobą w drodze do chorej Magdy; myślał, że go tam zostawił w chatce. Wziąwszy inny zmówił pacierze, lecz jednak nie mógł się pozbyć myśli o morderstwie i mordercy.

Wójt gminny, który zarazem był i policyantem, przybył po południu do proboszcza chcąc z nim pomówić o pogrzebie starej Magdy. Zastał go w ogrodzie a przechadzając się z nim spostrzegł sutannę krwią zbryzganą i zapytał z uśmiechem: „A z kimże się to ksiądz dobrodziej bił aż do krwi?“ — Teraz dopiero pomiarkował ksiądz krew na sutannie, znów stanęła mu przed oczy cała ta straszna scena w lesie i przypomniał sobie, że niezawodnie wtenczas zwalał sobie suknię we krwi, kiedy się schylał nad zabitym. Jąkając odpowiedział tam coś wójtowi tak pomięszany, że go ten nie zrozumiał i z podziwieniem pożegnał księdza, który jął się teraz lękać, że ta skrwawiona sutanna mogłaby się stać śladem odkrycia zbrodniarza a lud będzie myślał, że on wygadał ze spowiedzi.

Tego samego dnia szło kilku rębaczy do lasu na ścinanie drzewa z rozkazu leśnego. Rozmawiający między sobą przybyli aż na miejsce popełnionej zbrodni a pierwszy, co spostrzeże nieżywego, zawołał przelękniony: „Dla Boga! oto tu leży człowiek zabity, czaszka cała rozwalona!“

Kto był ten nieszczęśliwy, nikt nie wiedział, z skaleczonej twarzy nie było można poznać; lecz skoro przynieśli wody i skrzepłą krew obmyli, poznali obcego człowieka, którego wczoraj widzieli we wsi i który ich pytał, jeśliby tu kto nie miał gruntu na sprzedaż. Jeden z rębaczy przypomniał sobie, że go ten człowiek spotkał na wsi i prosił, aby mu pokazał drogę na plebanią, bo chciał odwiedzić księdza probo-

szcza, dawnego przyjaciela swego. Poszedł z nim, ale że ksiądz nie był u siebie, oddał tam jakiś bilet z swojem imieniem.

„Oto patrzcie“ — rzekł inny — „tu leży książka!“ a podniósłszy ją pokazał drugiemu, który otworzywszy ją rzekł: „To po łacinie, ja nierozumię, ale oto tu stoi imię naszego księdza proboszcza: Józef Prawik, to jego brewiarz, dziwna rzecz, jak on się tu dostał.“

Rębacze nie wiedząc, co począć, uradzili między sobą, aby jedni zostali przy zabitym a drudzy poszli po wójta gminnego. — Wieść o zabójstwie raptem gruchła po wsi, w każdym domu mówiono o niem, ale nikt niechciał donieść proboszczowi, że przy zabitym znaleziono brewiarz jego.

Wójt udał się natychmiast do lasu i znalazł zamordowanego i brewiarz proboszcza. Mimowolnie przypomniał sobie pokrwawioną sutannę kapłana, ale wahał się wziąść go w podejrzenie. Na zapytanie: jeśliby kto nie wiedział nazwiska tego człowieka, odezwał się jeden z rębaczy: „Hatwik“ się nazywa, bo mi wczoraj powiedział nazwisko, kiedy prowadziłem go na plebanią, gdzie zostawił bilet.“

Policyant wzdrygnął się i rzekł po chwili: „Zostańcie tu wszyscy, aby kto nie ruszył z miejsca zabitego, ja pójdę zgłosić wypadek do kryminału.“ Po tem rozporządzeniu wrócił do wsi i prosto udał się na probostwo, gdzie znalazł księdza w myślach zatopionego i zdało mu się, jakoby się był przeląkł z jego przybycia.

„Czy wczoraj nie odwiedził kto księdza proboszcza?“ zapytał spokojnie,

„Nikt!“ odpowiedział pomięszany proboszcz.

„A przecie mi zię zdaje, że tu był obcy człowiek i zostawił bilet z nazwiskiem.“

„Być może, że tu był w mej nieobecności, bo moja gospodyni zapomina częstokroć uwiadomić mnie o przybyszach. Oto tam są bilety w zwierciadle.“

Policyant spojrzał na bilety a ujrzawszy jeden z napisem: Antoni Hatwik, drżącą ręką wydobył go z zwierciadla: „Czy ksiądz dobrodziej przeszłej nocy był u siebie?“

„Byłem u chorej Magdy na górze“ odpowiedział ksiądz.

Policyant wzdrygnął się, ale tając swoje pomięszanie pytał dalej: „Czy księdzu nie skradziono brewiarza?“ „To być nie może“ — rzekł kapłan — „bo go zawsze przy sobie noszę. Dziś nie znalazłem go w kieszeni, niezawodnie zostawiłem go u Magdy — lecz dla czego te pytania!“

Właśnie w tej chwili zapukał ktoś we drzwi, ogrodnik wstąpił do izby z próżnym trzosem (opaskiem) w ręku i rzekł: „Oto to znalazłem w ogrodzie,“ położył na stół i wyszedł.

Policyant osłupiał spostrzegłszy na trzosie wyhaftowane imię: Antoni Hatwik. Wziął trzos z sobą a chcąc się wydalić rzekł niby nawiasem: „Tej nocy znaleziono zabitego w lesie, czy ksiądz proboszcz wie o tem?“

„Wiem o tem zabójstwie i widziałem w nocy zabitego,“ odpowiedział kapłan tak otwarcie i spokojnie, że policyant nie mógł go mieć za winowajcę i niby z zadowolnieniem rzekł: „Bardzo dobrze, że ksiądz wie o tem, to też łatwo odkryjemy mordercę.“

„Ja go znam z osoby“ — rzekł kapłan — „ale zaręczam panu, że go nie wyjawię.“

Zadziwiony wójt taką odpowiedzią dodał z powagą: „Nie możesz tu milczeć księże! bo mimo to, iż kiedy człowiek winien wydać złoczyńcę, własny interes twój przymusza cię do wyjawienia zbrodni.“

„A to jako?“ zapytał kapłan.

„Oto tak!“ — odpowiedział wójt: „Sutanna księdza jest krwią zbroczona, brewiarz znaleziono przy zabitym, próżny trzos pieniężny w ogrodzie a bilet zamordowanego nosi imię Antoniego Hatwika.“

„Dla Boga!“ — krzyknął zdrętwiały kapłan — „co mówisz pan: Antoni Hatwik? a wszak to jest dawny mój przyjaciel kochany!“ To rzekłszy krew uderzyła mu w głowę, zemdlał i padł bez ducha.

„To znak złego sumienia“ — pomyślał wójt, patrząc z litością i wzgardą na omdlałego — „więc on jest mordercą, cóż na to powiedzą parafianie, gdy zobaczą pasterza swego na ławicy delikwentów? — Nie było mu miło, obchodzić się z księdzem jako z podłym zbrodniarzem, a chcąc się pozbyć

tego mozołu schylił się do omdlałego i podszepnął mu do ucha: „Księże! świat jest otwarty, jeszcze sąd nie zna twojej zbrodni, schroń się zawczasu, nim podam skargę do sądu i nim wezmą cię do więzienia. Bądź zdrów!"

Kapłan przyszedłszy do siebie zawołał: „Stój panie! źle o mnie sądzisz, pozór uważasz za prawdę, ja nie popełniłem żadnej zbrodni, uciekać nie chcę i nie będę, bobym przez ucieczkę właśnie wpadł w podejrzenie. Jeśli wola Boża, wykryje się niewinność moja, jeśli zaś nie tak, ochotnie przyjmuję krzyż niezasłużony na siebie. Czyń ty panie! twoję powinność, ja zostanę przy mojej."

Wójt wydalił się i pojechał natychmiast do miasta do kryminału z doniesieniem nieszczęśliwego wypadku z wszystkiemi okolicznościami. Proboszcz zaś został siedzieć w krześle z obróconemi w słup oczami. Nie mógł on tego pojąć, aby go można obwinić o zabójstwo a jednak uważał, że główne znaki stawają przeciwko niemu i że niezawodnie powołają go do kryminału. Jeśli Janek dobrowolnie nie wyzna swej winy, zły ta rzecz weźmie koniec. Lecz jakże mógł się spodziewać wyznania Janka, kiedy tenże dla rzucenia większego podejrzenia na księdza próżny trzos wrzucił do ogrodu?

„Drogi mój Hatwiku! tyś niewinnie życie twoje utracił, a ja, którybym z miłości moje za ciebie łożył, ja mam być twoim mordercą! Za cóż zasłużyliśmy oba na taki los okropny!" — Tak narzekając cały dzień siedział proboszcz smutny i zafrasowany. Parafianie przychodzili jedni dla okazania udziału, że nie wierzą w takie niesłuszne obwinienie, inni z ciekawości, aby zobaczyć, jak się zachowuje w tem nieszczęściu albo wywiedzieć się o bliższych okolicznościach. Znużony temi odwiedzinami i oświadczeniem swej niewinności zamknął się wieczorem w swoim pokoju, udał się na modlitwę i całą rzecz polecił Bogu, od którego jedynie spodziewał się ratunku.

Tymczasem sprowadzono zabitego do karczmy wiejskiej. Lud garnął się tam zewsząd, aby go widzieć, poszedł tam i kościelny i głośno przemawiał do ludu: jaka to hańba i nie-

słuszność, o zabójstwie obwiniać księdza, któryby ani muchy nie zabił, a daleko mniej człowieka. Słuchacze milczeli, ale pijanica jeden, któremu ksiądz już nieraz wyrzucał surowo nałóg pijaństwa, odezwał się złośliwe; że czarna suknia nie uwalnia kapłana od zbrodni. Te słowa oburzyły niektórych, lecz znaleźli się tacy pijanicy, co potakiwali.

Smutny to był dzień pogrzebu starej Magdy. Lubo przedtem nikt się o nię nie postarał, na pogrzeb jednak zgromadziła się wieś cała, nie tak z miłości dla nieboszczki jako dla podstrzegania kapłana. I wyrodny Janek przybył na pogrzeb matki i dość porządnie był ubrany, tak iż ów pijanica szyderczo odezwał się do obecnych: „Oto widzicie, jako z łajdaka może się stać poczciwiec a z dostojnika podły morderca!"

Podczas pogrzebu Janek nie spuścił kapłana z oka a ten ani oczu nie podniósł na niego z obawy, aby przez to wyzdradził złoczyńcę. — Po pogrzebie zamierzał Janek na plebanią, co niemało zadziwiło lud, bo go ani tam ani w kościele już od dawnych czasów nikt nie widział. Niektórzy szli za nim, aby się przekonać, czy istotnie chce odwiedzić księdza proboszcza, lecz Janek zboczył z drogi i poszedł w pole. Odtąd nikt go już nie widział. Jedni mówili, że poszedł w świat daleki, inni że się ukrył gdzieś w bliskości i prowadzi życie obyczajne.

Dwa ukłony. Pewien jegomość za wsi jechał fiakrem przez miasto. Na jednej ulicy minął go powóz, w którym siedział jakiś mężczyzna z nadętą miną i bystrem spojrzeniem. Dorożkarz zerwał czapkę z głowy i trzymał w ręku, zgarbiwszy się od ukłonu, dopóki powóz całkiem już nie przejechał. — Któż to jest, komu tak uniżenie czapkujesz? — zapytał pan ze wsi. — To tutejszy pan sędzia śledczy, trzyma on nas wszystkich w garści; a człowiek musi mu honory oddawać, bo to wielki pan. Wkrótce potem, przejeżdżali koło głównych drzwi katedralnego kościoła. Dorożkarz zdjął czapkę na chwilę, a skłoniwszy lekko głową, nakrył ją szybko napowrót i pojechał dalej. — Powiedz że mi — rzekł znów pan do dorożkarza — czemu owego sędziego, choć on jest zwykłym człowiekiem, tak wielce i głęboko uczciłeś a przed P. Bogiem w kościele utajonym, który jest przecie większym panem i świat cały w ręku trzyma — zaledwie głową kiwnąłeś? — Panie łaskawy — odpowiedział dorożkarz pan Bóg na głębokość czapkowania i ukłonów nie patrzy, ale za to serce człowieka na wskroś przegląda — a przed ludźmi to się zwykle gra komedyą, bo oni się na niej nie poznają.